

"Trędowaty, który podlega tej chorobie, będzie miał rozerwane szaty, włosy w nieładzie, brodę zasłoniętą i będzie wołać: 'Nieczysty, nieczysty!' Przez cały czas trwania tej choroby będzie nieczysty. Będzie mieszkał w odosobnieniu. Jego mieszkanie będzie poza obozem."

Księga Kapłańska

Pamiętacie starego Chustucha? Tak, mam na myśli tę przygarbioną, wiecznie rozkudłaną łajzę w niedopasowanych i niedobraniach do wieku, za dużych, młodzieżowych ciuchach.

No idiota ze mnie, po co w ogóle zadaję tego typu, retoryczne do bólu, pytanie?

Oczywiście, że kojarzycie z widzenia, wrył się wam, wżarł, zapadł w pamięć! Choćbyście widzieli go jedniuchny raz w życiu, w dodatku przelotnie, choćby tylko mignęła wam w tłumie przechodniów jego półzgięta sylwetka — idę o zakład, więcej: ręczę, że nie zapomnicie jej nigdy.

Jest i pozostanie niewyrzucalny spod czaszki, ten karykaturalny obraz: szorującego prawie nosem po ziemi skejtowskiego kloszarda, komicznej postaci ubranej w szerokie spodnie, w co najmniej trzy numery za duże bluzy z Batmanem, Pikachu, albo Meridą Waleczną.

Żył między nami, właściwie: poniewierał się, na sto procent bezdomny (choć na takiego nie wyglądał), zagubiony w odmętach własnych, skołtunionych myśli, ciągle nieobecny i jakby nie z tego świata, pożyczony skądś, przywleczony z innej od naszej, dzikiej legendy, pan Chustuch.

Snuł się, niczym dym z różowej i tandetnej, plastikowej fajki, nieźle podstarzały, ale absolutnie nie nobliwy wydebiacz, dębiciel darmowych ubrań, posiłków.

Peregrynowało to-to po wszelakich ciuchodajniach i jałłodzielniach, upraszało dla siebie a to kanapkę, pół płytkiej miseczki grochówki, a to lekko tylko spraną bluzę z logo PROSTO, FIRMY, albo ciągle popularnym wśród młodzieży, tyleż patolskim, burackim, co zwyczajnie durnym JP.

Wybierał ze stert szmat, nasz pan tajemniczy, jedynie — jak to to określał: "współczesne, a więc modne" ciuchy, nie dał się przekonać do swetrów, szczególnie gardził materiałowymi spodniami, ani myślał założyć — nawet wyglądających jak nowe — pantofli, jakie usiłowała mu kiedyś sprezentować jedna starszka ("Henryk świętej pamięci tylko ze dwa razy założył do kościoła").

I wychodził zawsze ze szmatodzielni wyglądając, jakby przed chwilą dokonał rozboju, w biały dzień okradł z ciuchów jakiegoś nastolatka, podciął biedakowi nogi, przewróconemu, grożąc nożem i przyciskając kolanem gardło, kazał się rozebrać do bielizny.

Tajemniczy i nierozmowny, wyglądający kuriozalnie z tą swoją firaneczką-zasłoneczką — i zarazem szalenie niemiły, bucowaty, opryskliwy koleś sprawiający wrażenie pociesznego dziwaka, z którym da się wesoło pogadać (czytaj: z którego będzie można podrwić, pożartować, pośmiać mu się na bezczelnego w twarz).

Warczący wyzwiska, klnący jak cały zakład szewski, mrukliwy kolo z ciągle zawiązaną pod nosem, zasłaniającą górną wargę, kraciastą chustą.

AmbiwalenCiuch, ma którego humorystyczny wygląd nabrał się niejeden nastolatek, prankster, początkujący youtuber.

Podchodzili do niego, nieświadomi trzynasto-, góra szesnastolatkiem, chcieli tak po ludzku pogadać, przeprowadzić para-wywiad, dowiedzieć się czegoś o tak oryginalnej osobie. Pytali u źródła.

I odchodzili gorzej niż z kwitkiem, w najlepszym razie — owarczeni, w najgorszym, jeśli byli w małym choćby stopniu natarczywi — zbluzgani od najgorszych, skłęci na czym świat stoi.

"Co ja — wasz kolega?!" — dudnił groźnie spod okrywającej wargę chustki. Nie dawał się poniżyć, zgnoić, nie było w nim nic z żuła o przeżartym alkoholem mózgu, płaszcącego się za dwa złote poddyskontowego lumpa bez godności, gotowego zrobić wszystko, albo jeszcze więcej za choćby łyk niedro-

giego wina, browarczyciela, prytoteisty.

Z czego się utrzymywał? Nie wiadomo. Historia milczy również o jego bliższej lub dalszej rodzinie, o ile jeszcze miał taką.

Może został już sam na świecie albo spadł z nieba, pilotowany przez niego statek kosmiczny rozbił się na dachu czyjegoś garażu.

On ani trochę nie zabawny dziwoląg z Melmac-bis, planety gburów, on — hipersamotnik nie nawiązujący z nikim kontaktów, dziki lokator (jak się domyślam) pustostanów, człowiek-zagadka.

Pośród innych bezdomnych nie uchodził za aroganta czy chama. Nie rozmawiano z nim, nie starano się poznać bliżej, przeniknąć przez ścianę, zrobić wyłom w murze i dostać się do tajemnego świata.

Mijali go ni to z pogardą, ni to z wyższością, najmenelsze nawet chlory wołały nie wchodzić w drogę i w takim samym stopniu okazywały mu lekceważenie.

"Ten, co się nie odzywa" był dla nich tęgim świrem, kompletnym odklejeńcem od rzeczywistości, na którego nie warto było strzępić języka.

Mizantrop nad mizantropów, który, mimo przesadnie młodzieżowego stroju, jakby starał się pozostać niezauważony, udawał, że go nie ma, wtapiał się w mijane elewacje, wnikał w tkankę miasta.

Chodząca sprzeczność. Ktoś, kto nie szedł, a przemykał. Kto, jeżeli nawet o coś prosił — to z dumą i wręcz absurdalną powagą, cedząc każdą zgłoskę.

Jedynie dwa razy dał się namówić na burkliwe zwierzenia, zagadnięty przez dwudziestoparoletnie, uśmiechnięte od ucha do ucha streetworkerki uchylił nieco rąbka tajemnicy. Rąbka kraciastej chusty.

Jak się później okazało — w obu przypadkach — bezczelnie kłamał.

Spytany o powód, dla którego nosi kuriozalną zasłoneczkę, z ogromną niechęcią oświadczył, że "musi, bo mu się górna warga spaliła, jak w osiemdziesiątym ósmym roku pił denaturat, nasiąknięte wasy zajęły się od papierosa — i poszło po całości".

Innym razem, kolejnej przemiluchnej społeczniczki odburknął, że "jakiś wredny chuj dołał mi kwasu solnego do jabola — i ledwie zdążyłem umoczyć usta — już było po wardze, stopiła się prawie do kości".

Podobno komuś jeszcze wciskał kit o szczurach, które w piwnicy opuszczonego bloku próbowały zjeść go żywcem, robił z siebie współczesną wersję Popiela.

Chodzą też słuchy — choć w to akurat ciężko uwierzyć — że poszedł za daleko w swoich fantazjach, usiłował wciskać bajeczkę o wyjątkowo perwersyjnej byłej żonie, istnej femme fatale, która w miłosnym amoku, prawdziwie zwierzęcej ekstazie... odgryzła mu wspomnianą wargę podczas namiętnego, agresywnego, wariackiego pocałunku.

Łgał, stary Chustuch, czemu jednak trudno się dziwić, mało kto będąc na jego miejscu obnosiłby się z taką... matką — aż ciarki przechodzą na samą myśl — z taką deformacją.

Wstydliva fizyczna ułomność, która, gdyby ujrzała światło dzienne — czyniłaby z niego mutantą, dziwo, kogoś gorzej postrzeganego niż Quasimodo — musiała pozostać ukryta.

Kto przy zdrowych zmysłach ujawniłby, albo wręcz obnosiłby się z tak szpecącym wynaturzeniem! A stawać się ogólnościową, bo już nawet nie lokalną, nie polską, nie europejską sensacją — nie miał zamiaru, zamknięty w sobie Chustuch.

I chowałby pewnie do końca swoich dni owo cudo, za skarby świata nie pozwolił sobie choć na pół centymetra uchylić szmatki w kratkę, gdyby mu jej dosyć bezczelnie nie zdarto z twarzy.

Gdyby nie przeklęte Dni Miasta 2023 i gwałt, jaki mu wręcz (publicznie, na oczach tłumu!) zadano.

Chodził półzgięty niemal przy samym ogrodzeniu amfiteatru, trzymał się jak zawsze na uboczu, pan beziemienny (do tej pory nikt nie zna jego personaliów, na forach internetowych trwają o to kłótnie, padają dziesiątki imion, nazwisk, żadne jednak nie zostało ostatecznie potwierdzone przez kogokolwiek wiarygodnego, mogącego napisać na temat Chustucha coś więcej, niż tylko domysły, spekulacje).

Amfiteatralne ławki świeciły pustkami, mieszkańcy jakby zmówili się, by (z nieustalonych powodów) jak jeden mąż bojkotować imprezę. Pogoda — dopisała, słońeczko świeciło jak oszalałe, na scenie produk-

wała się piegowata pannica z discopolowo-folkowej grupy Wojłoki — a publiczność, kompletnie nie wiedzieć czemu — stanowiły dwie stare baby, kilkoro państwa w średnim wieku i ze czwórka — piątka dzieci.

No i oczywiście on, zwabiony darmowym poczestunkiem, dumnie dzierżący w dłoniach rogalik z serem, przyogrodzeniowy Chustuch.

"Bo palce są stworzone, aby je rozczapierzać. Po nic więcej. Więc je rozchyl. No, prędzej! Niech jak grabie... będą ręce..." — wyśpiewywała tęgie idiotyzmy zapiewajczyni, gdy zdarzył się dramat.

Znudzony i zażenowany kamerzysta, chyba aby unaocznic ewentualnym widzom rozmiary tragedii, skierował swoją sony handycam 4K na "publiczność".

Kompletna żenada, antyimpreza, najgorszy event, jaki mu przyszło filmować: panienka na scenie, telebim, streaming, który jest oglądany przez dosłownie DWÓCH internautów, błyskające kolorofony, maszyna od czasu do czasu popierdująca dymem — a na widowni — gorzej, niż puchy, zima, zamieć, lodowa kraina: dwie ziewające ramolice, para opychająca się rogalami za free. I dzieciuch, który podbiega do garbatego faceta w bluzie ze Snorlaxem, zdziera mu z twarzy kraciastą, umocowaną na gumkach do uszu, chustkę do nosa.

Matka krzycząca na łobuza, żeby zostawił pana w spokoju.

Matka krzycząca z przerażenia widząc, że górną wargę mężczyzny porastają wąsy, których każdy włos jest zakończony małą... gałką oczną.

Patrzą, mrużą się, gapią beczelnie na zszokowaną kobietę setki diabolicznych i ani chyb idiabelskich gailisk!

— Jezu! — Wzywa imienia Pana nadaremno, matka urwisa.

"Rozczapierzaj! Czasu nie zmitręzaj! Niech ci palców będzie nie żal! Obyś..."

Głos więźnie w gardle pieguski. Chwilę później gitarzysta staje jak wryty, klawiszowiec odrywa się od keyboardu.

Zasłanianie nerwowo, małe oczy.

Wielkie, rozpikselowane oczyska na telebimie.

Wrzask staruszki, potem — drugiej.

Wąsy, jakby składające się z parzydełek.

Uciekający w pośpiechu, garbaty wąsowidz.

Porzucony rogalik z serem.

Śmiech kilkuletnich chłopców, płacz dziewczynki.

Zbaraniały kamerzysta, do którego dociera, jak bardzo pomylił się w osądzie imprezy. TAKI NUMER!

Szok, osłupienie, po prostu niedowierzenie.

Zgroza, konsternacja, zdziwienie tak wielkie, że aż kopara opada. Jezu, matuchno, co on miał podoklejać do... do... ? Przecież niemożliwe, żeby tak naturalnie wyrosły...

Na backstage'u — kompletnie nieświadome co zaszło, rozchichotane nastolatki z zespołu Bidonarium (miał wystąpić zaraz po Wojłokach).

Na tylnej kanapie czarnego passata — odwożony do domu prezydent miasta (zmył się zażenowany widząc, że — jak sam to określił — "chuj, nie impreza").

Chustuch nie zatrzymywany w bramie przez ochroniarzy.

Tornado, które dopiero miało nadejść. Całe worki pikseli, zer i jedynek, kilogramy zdań wyklawiaturowanych na temat przyczyn tajemniczej deformacji zdań.

Plotki, dociekania, trolling, bujdy, podcasty o mężczyźnie znikąd, który po nieszczęsnej dekonspiracji ocznej jakby rozpląnął się w powietrzu.

Bo zniknął, rozwiął się, dał pożreć czarnej, wszystko niszczącej mgłę, bezdomny i skrzywdzony przez los introwertyk, mizantrop z konieczności, który najwyraźniej do tego stopnia wstydził się swoich oczowasów, że postanowił wycofać się ze wszelkich przejawów życia, zrobaczeć, skundleć, splazieć, stać

się mniej niż postacią nasprejowaną na murze przez mało zdolnego grafficiarza.

Zmazała go dekonspiracja, starła z powierzchni ziemi.

Na poświęconym jego sprawie forum Chustuchwatch coraz większą popularność zyskuje absurdalny moim zdaniem pogląd, jakoby był, nasz tajemniczy deformant, szpiegiem z innego wymiaru, ze swego rodzaju wynaturzeńczej krainy Deszczowców.

Przybył, porozglądał się, sporządził obszerną dokumentację fotograficzną, dzięki której jego ziomale poznają, jak bardzo przewalone jest bycie małomiasteczkowym Polakiem.

Część (oczywiście młodocianych) użytkowników forum obstaje przy tezie, że to był kosmita, innych zaś nie idzie przekonać, że owo bezimienne dziwadło nie było owocem eksperymentów genetycznych, nie urodziło się w szklanej probówce o wymiarach 5x8 metrów.

Jakiś Livlik, najpewniej — troll, od dobrego półrocza szerzy spiskową teorię, dostarcza "dowodów" na światowy spisek cyberżydostwa, kolejny z internautów — ani chybi niespełniony pisarz SF — ukrywający się pod nickiem Galeon Sferyczny, prowadzi bloga Widziałem-poznałem.pl, gdzie opisuje historię rzekomych kontaktów trzeciego stopnia z "Maciejem Junkowskim" — bo tak według niego ma nazywać się Chustuch.

Nie podając — rzekomo z obawy o osobiste bezpieczeństwo — żadnych bliższych szczegółów — kreśli cybernetyczne bzdety, pierdy smalone, duby z mchu i paproci, bajdurzy o niezwykłych właściwościach "wąsoczek", które mają być... narządami kopulacyjnymi Chustucha.

Spieprzywszy gorączkowo z naszego miasteczka, błąkał się podobno po całym województwie, "Maciej", spał w rowach, stołował się po śmietnikach.

Zmienił wygląd, skejtowskie westymenta zmuszony był zastąpić prawdziwie kloszardzimi łachami (dokładnie w tak podniośle-kuriozalnym stylu jest prowadzony ten blog! Wejdźcie, a sami się przekonacie. Nie odpowiadam za ewentualne zakrztuszenie się ze śmiechu kawą, tudzież herbatą. Przednia lektura!).

I spotkał, gdzieś-kiedyś, nasz Chustuch-wieczny tułacz, przedstawicielkę swojego podgatunku, włosooką jak on, Czesię.

I zaczął pocierać wąsami, gałkami ocznymi o pukle jej, również oczatych, włosów. Na tym bowiem polega seks owych istot, postludzi.

"Zapłakało" każde z jego umieszczonych na końcówkach wąsów, oczek. Wlały się w chłonne tęczówki donny Czesławy, gęste krople. Poczula się zapładniana, wybranka Maćkowego serca.

Mieszkało razem w suterenie dwoje Homo sapiensów oculusów, wiodło spokojne życie. On zbierał puszki i inny złom, ona — rencistka, eks-kucharka, od czterech lat wdowa — dorabiała jako sprzątaczką w biurówcu MPO.

Oczekiwali mającego przyjść na świat potomka (jak, którędy miałby się urodzić — tego już bloger-fantasta nie precyzuje!).

Starali się, jak zwykle, nie rzucać w oczy z tymi swoimi oczami, wybranka "Macieja" nie zdejmowała z głowy chustki, on — chodził z przytwierdzonym, dociętym na wymiar fragmentem... twarzy wystawowego manekina, z mającymi udawać protezę, plastikowymi ustami.

Zgrywał przy tym niemowę, gdy tylko dostrzegł, że skupia na sobie czyjś wzrok, dajmy na to w autobusie albo tramwaju przypatruje mu się jedna, czy dwie osoby — zaraz wyciągał z kieszeni złożoną we czworo kartkę, na której było napisane: "RAK JAMY USTNEJ ODEBRAŁ MI ZDOLNOŚĆ MÓWIENIA. STOMIA. ODŻYWIAM SIĘ POZAJELITOWO. JEŚLI JESTEŚ W STANIE — WSPOMÓŻ CHOĆ ZŁOTÓWKĄ KALEKĘ" (wszystkim, jak twierdzi bloger-bajarz, którzy czytali ten rozpaczliwy teksty, miękły serca, mało kto miał czelność nie rzucić drobników, albo i dychy ciężko doświadczonemu przez los mężczyźnie, któremu raczysko wyżarło pół twarzy).

Prawdziwa tragedia spotkała ponoć "Macieja" i Czesię, gdy kobiecie pękły gałki oczne. Na szczęście — tylko te włosowe.

Żadne z oczu nie okazało się być zapłodnione (ależ musi mieć fantazję autor tych wypocin!), oczka, które miały być w ciąży (sic!), strzeliły którejs nocy, jedno po drugim. Wylała się z nich koszmarnie cuchnąca zbukiem, zawieszista substancja.

Ponoć do dziś niedoszli rodzice opłakują dziecko, którego nie było.

Filmik z zerwania chustki — jak nietrudno się domyślić — zrobił międzynarodową karierę. Ciągłe kraży w sieci, zdobywa coraz to nowych widzów. Oglądają go ludzie w Afryce, Ameryce Południowej, na Grenlandii, a nawet Antarktydzie. Wciąż mnożą się teorie na temat tego, kim był i czego szukał w naszym miasteczku tajemniczy Chustuch, jaka była geneza jego mutacji, istnieją podobne przypadki, czy też może cała sprawa jest szytą grubymi nićmi mistyfikacją (w końcu — co za problem podoczepiać do wąsów plastikowego badziewia, kuleczek z modeliny, albo masy solnej?).

Historia Chustucha urywa się w momencie przekroczenia przez niego bramy amfiteatru. Od czasu pamiętnego Dnia Miasta nic w jego sprawie nie jest pewne.

Zresztą — nic nigdy nie było.

Jest gdzieś między nami, żyje w innym powiecie, na kontynencie, w odległej galaktyce, na planecie Tatonine czy innej nieziemiokształtnej, nasz stary (nie)znajomy.

Cisza. Niepewność. Milczenie. Tysiące niepotwierdzonych wersji, dzieciaki, młodzi dorośli zaklinający się na wszystko co dla nich drogie, że na sto procent widzieli "Maćka" w pekaesie jadącym do Grójca albo Nowego Miasta Lubawskiego.

Ktoś wrzucił mu dwa złote do puszki, inny — niechcący potrącił ramieniem na rynku w Żywcu.

Pewien facet pił z nim tequilę w Cigacicach, inny — postawił mu piwo w Kraśniku.

Chustuch-autostopowicz podwożony przez parę trzydziestoparolatków spod Piły, dziewczyna zarzekająca się, że jej mama, krawcowa, zszywała znoszone do imentu, postrzępione spodnie "pana z chustką zakrywającą górna wargę".

Jakiś mitoman był na pogrzebie kloszarda o dziwnym zaroście, wujek innego — ubierał Chustucha do trumny.

Ech, zaraz pewnie znajdzie się żartowniś twierdzący, że rodzony brat jego chrzestnego jest okulistą i od ośmiu miesięcy leczy mężczyznę z zaćmą na wąsach.

Może jeszcze odezwie się pracownik Vision Express, który dobierał oprawki chustuchowych wąsokularów.

Albo barber, co będzie przysięgać, że brzytwą z nierdzewnej stali golił starszego mężczyznę w skejtowskich ciuchach — czym doprowadził do jego oślepięcia.

Jeśli pamiętacie Chustucha — wiedźcie jedno: w jego historii niczego nie można być stuprocentowo pewnym. Prawda nie istnieje, była kaleka, niewidoma od urodzenia. Została pożarta przez czerń — jedyną barwę, jaką były w stanie odbierać jej oczy — jak grafomańsko napisał troll na blogu Widzialem-poznałem.pl.

Istnieje tylko kłamstwo, bujda, mit, zmyślenie. Spójrz: mruga do ciebie tysiącami małych, kaprawych ślepek.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 25.05.2022 13:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.